

Love story
&
Opowieść Olivera

Erich Segal



Rozdział 1

Co można powiedzieć o dwudziestopięcioletniej dziewczynie, która umarła?

Że była piękna. I bystra. Że kochała Mozarta i Bacha. I Beatlesów. I mnie. Kiedyś, gdy szczególnie namiętnie zarzucała mnie tymi swoimi muzycznymi typami, spytałem, w jakim ustanowiłaby ich porządku, a ona odparła z uśmiechem: „Alfabetycznym”. Wtedy też się uśmiechnąłem. Lecz teraz siedzę i zastanawiam się, czy na jej liście figurowałem pod imieniem – wtedy byłbym po Mozarcie – czy pod nazwiskiem, bo wtedy wcisnąłbym się między Bacha i Beatlesów. Tak czy owak, nie byłem na pierwszym miejscu, co z jakiegoś idiotycznego powodu wkurza mnie jak diabli, bo wyrosłem w przekonaniu, że zawsze muszę być numerem jeden. To dziedziczne, wiecie?

*

Jesienią na ostatnim roku wpadłem w nawyk siedzenia nad książkami w bibliotece Radcliffe*. Nie tylko po to, by pogapić

* College żeński, autonomiczna część Uniwersytetu Harvarda.

się na kociaki, choć przyznaję, że lubiłem sobie popatrzeć. Panowała cisza, nikt mnie nie znał, a książek do wypożyczenia na miejscu nie rozchwytywano. Był dzień przed kolokwium z historii, ja nie zabrałem się jeszcze do czytania pierwszej lektury na liście, co zresztą jest endemiczną chorobą na Harvardzie. Podryfowałem do blatu, żeby zamówić jakąś książkę, która wybawi mnie jutro z opresji. Siedziały tam dwie dziewczyny. Jedna wyglądała na wysoką tenisistkę, jakich wiele, a druga na myszkę w okularach. Wybrałem myszkę okularnicę.

– Macie może *Zmierzch średniowiecza*?

Podniosła na mnie wzrok.

– A wy macie własną bibliotekę? – spytała.

– Studentom Harvardu wolno korzystać z biblioteki Radcliffe.

– Nie wnikam, czy to zgodne z regulaminem, czy nie, lalusiu z prywatnej szkółki... mówię o etyce. Wy macie pięć milionów książek, a my nędzne kilka tysięcy.

Jezu, ale mądrała! Z tych, którym się wydaje, że jeśli stosunek liczby studentów Radcliffe do Harvardu wynosi pięć do jednego, to dziewczyny z Radcliffe muszą być pięć razy mądrzejsze. Zwykle tnę takie na równe kawałeczki, ale wtedy diabelnie potrzebowałem tej zakichanej książki.

– Słuchaj, ja naprawdę potrzebuję tej zakichanej książki.

– Czy mógłbyś uważać na swoje plugawe słownictwo, lalusiu?

– Skąd ta pewność, że chodziłem do prywatnej szkoły?

– Wyglądasz na tępego i bogatego – odparła, zdejmując okulary.

– Pudło – powiedziałem. – Tak naprawdę to jestem inteligentny i biedny.

– O nie, lalusi. To ja jestem inteligentna i biedna.

Gapiła się prosto na mnie. Miała brązowe oczy. No dobra, może i wyglądam na dzianego, ale nie pozwolę, żeby jakaś smarkula z Radcliffe – jeśli nawet ma ładne oczy – wyzywała mnie od przygłupów.

– A niby czemu jesteś taka inteligentna? – zapytałem.

– Bo nie poszłabym z tobą na kawę.

– Bobym cię nie zaprosił.

– I właśnie dlatego jesteś tępy – odparła.

*

Pozwólcie, że wyjaśnię, czemu zabrałem ją na kawę. Kapitulując sprytnie w kluczowym momencie – to znaczy udając, że nagle zachciało mi się z nią iść – zdobyłem książkę. A ponieważ dziewczyna nie mogła wyjść aż do zamknięcia biblioteki, miałem mnóstwo czasu, żeby wchłonąć niemało treściwych zwrotów mówiących o tym, że pod koniec jedenastego wieku władza monarchy była coraz bardziej uzależniona od prawników, a coraz mniej od duchowieństwa. Z kolokwium dostałem pięć mniej – taką samą ocenę, jaką wystawiłem nogom Jenny, gdy pierwszy raz wyszła spoza biurka. Nie mogę jednak powiedzieć, że dałbym jej czerwony pasek za strój, bo, jak na mój gust, był za bardzo hippisowski. Szczególnie nie podobała mi się jej indyjska niby-torebka. Na szczęście nic na ten temat nie powiedziałem, bo później się okazało, że zaprojektowała ją sama.

Poszliśmy do Karzełka, pobliskiej restauracyjki, w której, wbrew temu, co mogłaby sugerować nazwa, klientela nie ogranicza się do osób niskiego wzrostu. Zamówiłem dwie kawy i deser czekoladowy z lodami (dla niej).

– Jestem Jennifer Cavilleri – przedstawiła się. – Amerykanka włoskiego pochodzenia. – Jakbym nie wiedział. – Robię specjalizację z muzyki – dodała.

– A ja jestem Oliver.

– Oliver to imię czy nazwisko?

– Imię – odparłem, po czym zdradziłem, że nazywam się Oliver Barrett. (To większa część mojego nazwiska).

– O, Barrett – powiedziała. – Tak jak ta poetka?

– Tak. Ale nie ma żadnego pokrewieństwa.

Nastąpiła chwila ciszy, a ja dziękowałem w duchu, że nie usłyszałem typowego w takiej sytuacji, kłopotliwego pytania: „Barrett, tak jak nazwa tej sali?”. To mój prawdziwy kamień u szyi, że jestem krewnym faceta, który wzniósł Barrett Hall, największe i najbrzydsze gmaszysko Uniwersytetu Harvarda, monumentalny pomnik mojej rodzinnej fortuny, próżności i jaskrawego harwardyzmu.

Potem zamilkła. Czyżbyśmy tak szybko wyczerpali tematy do rozmowy? Czyżbym ją zraził tym, że nie jestem spokrewniony z poetką? No co? Po prostu siedziała, uśmiechając się do mnie niewyraźnie. Żeby się czymś zająć, zacząłem przeglądać jej notatniki. Miała dziwny charakter pisma – małe, ostre literki – i nie używała dużych liter (co ona sobie wyobraża... że jest e. e. cummingsem^{*}). Chodziła na dosyć zagadkowe przedmioty: Lit. porówn. 105, Muzyka 150, Muzyka 201...

– Muzyka dwieście jeden? Czy to nie jest seminarium dyplomowe?

* Edward Estlin Cummings – poeta i malarz amerykański, absolwent Harvardu, znany z oryginalności, m.in. nieużywania dużych liter.

Skinęła głową na potwierdzenie i nie udało jej się ukryć dumy.

- Renesansowa polifonia.
- A co to takiego polifonia?
- Nic związanego z seksem, lalusiu.

Czemu ja to znoszę? Czy ona nie czyta „Crimson”^{*}? Nie wie, kim jestem?

- Hej, czy ty nie wiesz, kim jestem?
- Wiem – odparła z lekką pogardą. – Jesteś właścicielem Barrett Hall.

Nie wiedziała, kim jestem.

– Nie jestem właścicielem Barrett Hall – zaprzeczyłem pokrętnie. – Tak się składa, że mój pradziadek podarował ten budynek Harvardowi.

– Postarał się, żeby jego wnuczek, który nie jest gwiazdorem, dostał się bez kłopotów na uczelnię!

Tego było już za wiele.

– Jenny, jeśli jesteś aż tak pewna, że takie ze mnie byle co, to dlaczego zgwałciłaś mnie, żebym postawił ci kawę?

Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się.

– Podoba mi się twoje ciało – odparła.

Żeby być naprawdę kimś, trzeba też umieć być byle czym. Nie ma w tym paradoksu. To szczególna harwardzka cecha – umieć przekuć klęskę w zwycięstwo.

Trudno, Barrett, nie wyszło. Ale walczyłeś jak wszyscy diabli.

Naprawdę się cieszę, że tak to przyjęliście. Wy naprawdę potrzebujecie zwycięstwa.

Rzecz jasna, zwycięstwo w ścisłym znaczeniu tego słowa

^{*} Studencka gazeta na Uniwersytecie Harvarda.

jest lepsze. Jeśli masz wybór, lepiej zdobyć w ostatniej minucie decydujący punkt. Odprowadzając Jenny do akademika, nie pożałowałem sobie ostatecznego triumfu nad tą zasmarkaną jędzą z Radcliffe.

– Słuchaj, ty zasmarkana jędzo z Radcliffe, w piątek wieczorem jest mecz hokejowy w Dartmouth.

– No i co?

– No i chcę, żebyś przyszła.

Jej odpowiedź nasycona była typowym dla Radcliffe umiłowaniem sportu:

– Niby czemu, u diabła, miałabym iść na jakiś parszywy mecz hokejowy?

– Bo ja będę grał – odparłem mimochodem.

Na chwilę zapadła cisza. Zdawało mi się, że słyszę padający śnieg.

– A w której drużynie? – spytała Jenny.

Rozdział 2

Oliver Barrett IV, rok dyplomowy

Zamiesz.: Ipswich, Massachusetts

Szkoła średnia: Phillips Exeter

Wiek: 20 lat

Wzrost: 180 cm

Waga: 84 kg

Specjalizacja: nauki społeczne

Na liście wyróżniających się studentów: 1961–1963

W reprezentacji Ivy League: 1962–1963*

Planowana kariera zawodowa: prawo

Jenny zdążyła już przeczytać w programie moją charakterystykę. Trzy razy przypomiąłem Vicowi Clamanowi, kierownikowi hali, żeby dostała broszurkę.

Na miłość boską, Barrett, pierwszy raz umówiłeś się na randkę?

Zamknij się, Vic, bo za chwilę będziesz pluł zębami.

Rozgrzewając się na lodzie, nie zamachałem do niej (jak

* Ivy League – stowarzyszenie ośmiu uczelni z północnego wschodu Stanów Zjednoczonych; należą do niego między innymi tak prestiżowe uniwersytety, jak Harvard, Princeton i Yale.

niekławo z mojej strony!) ani nawet na nią nie spojrzełam. A mimo to zdawało mi się, że ona myśli, że na nią zerkam. W czasie grania hymnu zdjęła okulary – może z szacunku dla naszej flagi narodowej?

W połowie drugiej tercji prowadziliśmy z Dartmouth 0:0. To znaczy, Davey Johnston i ja już-już przymierzaliśmy się, żeby podziurawić im siatkę. Zielonoskórzy dranie to wyczuli i zaczęli grać ostrzej. Gotowi byli złamać jedną czy dwie kości, zanim ich napoczniemy. Kibice wrzaskiem domagali się krwi. W hokeju oznacza to dosłownie krew, a jeśli nie krew, to gola. Szlachectwo zobowiązuje – powiedzmy – więc nigdy nie żałowałem im ani jednego, ani drugiego.

Al Redding, środkowy napastnik Dartmouth, przemknął przez niebieską linię, a ja wpakowałem się na niego ciałem, odebrałem krążek i ruszyłem w stronę ich bramki. Kibice ryknęli. Widziałem na lewym skrzydle Daveya Johnstona, ale pomyślałem sobie, że sam to rozegram, bo ich bramkarz to lekki cykor, któremu napędzam stracha od czasu, gdy grał w Deerfield. Zanim złożyłem się do strzału, dopadli mnie obaj ich obrońcy, więc musiałem objechać bramkę, żeby nie stracić krążka. Zaczęliśmy młócić się nawzajem i objać o bandę. Moja taktyka zawsze polegała na tym, żeby walić z całej siły we wszystko, co nosi barwy przeciwnika. Krążek plątał się gdzieś tam pod naszymi łyżwami, lecz w tej chwili skupiliśmy się wyłącznie na wzajemnej młócce.

Usłyszałem gwizdek sędziego.

– Ty... dwie minuty kary!

Podniosłem głowę. Wskazywał na mnie. Na mnie? Niby czym zasłużyłem sobie na karę?

– Panie sędzio, co ja zrobiłem?

Nie był zainteresowany kontynuowaniem dialogu.

– Numer siedem, na dwie minuty! – zawołał w stronę ławki sędziowskiej, sygnalizując rękami.

Trochę protestowałem, bo tak się uтарыło. Widownia oczekuje protestów bez względu na to, jak rażące było przewinienie. Sędzia machnął ręką w stronę ławki kar. Gotując się w środku, podjechałem do pudła. Przeskoczyłem przez bandę, łyżwy stuknęły o drewnianą podłogę. W tej samej chwili usłyszałem bulgot z głośników:

„Kara dla Barretta z drużyny Harvardu. Dwuminutowe wykluczenie”.

Kibice zabuczeli; kilku harwardczyków zakwestionowało jakość wzroku i trzeźwość myślenia sędziów. Usiadłem, łapiąc oddech; nie podnosiłem głowy ani nawet nie spoglądałem na lodowisko, gdzie przeciwnicy mieli nad nami przewagę.

– Czemu tu siedzisz, skoro twoi koledzy grają?

To był głos Jenny. Zignorowałem ją i zacząłem zagrzewać chłopaków do boju.

– Harvard, przechwyćcie wreszcie ten krążek!

– Jaki błąd popełniłeś?

Odrzuciłem się do niej. W końcu byliśmy na randce.

– Za bardzo się starałem.

Znów skupiłem się na obserwowaniu, jak moi kumple robią wszystko, żeby powstrzymać Ala Reddinga, który raz po raz próbował strzelić nam gola.

– Czy to wielki wstyd?

– Jenny, przestań, usiłuję się skupić!

– Na czym?

– Na myśleniu o tym, jak skasuję tego skurczybyka Ala Reddinga! – Patrzyłem na lód, żeby wspierać moralnie kolegów.

– Czy ty grasz nieczysto?

Mój wzrok był przykuty do naszej bramki, wokół której uwijał się teraz rój zielonych drani. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów wyjadę na lód. Ale Jenny nie dawała za wygraną.

– Mnie też kiedyś „skasujesz”?

Odpowiedziałem, nawet nie odwracając głowy.

– Zaraz to zrobię, jeśli się nie zamkniesz.

– Wychodzę. Cześć.

Zanim się odwróciłem, już jej nie było. Wstałem, żeby się lepiej rozejrzeć, i w tej samej chwili usłyszałem, że moja dwuminutowa kara dobiegła końca. Przesadziłem barierkę i znów byłem na lodzie.

Kibice ryknęli na moje powitanie. Barrett po skrzydle pędzi, drużyna rządzi. Jenny musiała usłyszeć, z jakim entuzjazmem mnie witali, gdziekolwiek się przyczaiła. Więc kogo to obchodzi, gdzie jest.

Gdzie ona jest?

Al Redding strzelił kąśliwie, lecz nasz bramkarz sparował krążek pod nogi Gene’a Kennawaya, który posłał go po lodzie w moim kierunku. Wyrwałem za nim, lecz pomyślałem, że mam ułamek sekundy, żeby spojrzeć na widownię i zobaczyć, gdzie jest Jenny. Spojrzałem i zobaczyłem ją. Była tam.

W następnej chwili szorowałem tyłkiem po lodzie.

Dwóch zielonych bydlaków władowało się na mnie i rąbnałem na lodowisko – Jezu, co za upokorzenie! Barrett staranowany! Sunąc po lodzie, słyszałem jęk wiernych kibiców Harvardu. Fani Dartmouth skandowali: „Jeszcze! Jeszcze!”.

Co pomyśli Jenny?

Krążek znalazł się pod naszą bramką i nasz bramkarz znów obronił strzał. Kennaway przedłużył do Johnstona, a ten

podał krążek do mnie (zdążyłem się już pozbierać). Widownia oszalała. To musiała być bramka. Przejąłem krążek i pomknąłem w stronę niebieskiej linii Dartmouth. Dwóch obrońców jechało prosto na mnie.

– Dawaj, Oliver, naprzód! Rozwal ich!

Wśród wrzasku usłyszałem krzyk Jenny. Był niesamowicie głośny. Minąłem zwodem jednego obrońcę, trafiłem drugiego barkiem tak, że uszło z niego powietrze, a potem, zamiast strzelać, ledwie utrzymując równowagę, podałem do Daveya Johnstona, który pokazał się na lewym skrzydle. A Davey wpakował krążek do siatki. Gol dla Harvardu!

Zaczęliśmy się ścisnąć i całować. Ja, Davey Johnston i reszta chłopaków. Uściski, całowanie, klepanie się po plecach, podskakiwanie na łyżwach. Tłum był wniebogłosy. A obrońca Dartmouth, którego zwałem z nóg, wciąż siedział na tyłku. Kibice ciskali broszurki na lód. To złamało zielonoskórym kark. (To tylko taka metafora – ten obrońca się podniósł, kiedy nabrał tchu). Ograliśmy ich siedem do zera.

*

Gdybym był sentymentalny i gdyby Harvard obchodził mnie tak bardzo, że chciałbym powiesić jakieś zdjęcie na ścianie, nie byłaby to fotografia Winthrop House czy Mem Church, ale Dillon. Dillon Field House. Jeśli miałem na Harvardzie duchowy dom, to był nim właśnie ten budynek. Rektor Nate Pusey może mi odebrać dyplom za to, co teraz powiem, lecz Biblioteka Widenera znaczy dla mnie o wiele mniej aniżeli Dillon. Codziennie po południu, póki trwało moje studenckie życie, szedłem tam, witałem się z kumplami stekiem przyjacielskich wulgaryzmów, zrzucałem z siebie

pozory kulturalnej ogłady i zamieniałem się w wygibusa. Wspaniale było wkładać dobrą, starą koszulkę z numerem siedem (marzyłem o tym, żeby zastrzegli na zawsze ten numer, ale nic z tego), wziąć łyżwy i ruszyć w stronę Watson Rink.

Powrót do Dillon był jeszcze przyjemniejszy. Ściągało się z siebie przeпоocony strój i szło na golasa do magazynku po ręcznik.

Jak dzisiaj było, Ollie?

W porządku, Richie. W porządku, Jimmy.

Potem pod prysznic, a tam opowieści o tym, kto komu co zrobił i ile razy w sobotę wieczorem. *Były te świntuszki z Mount Ida, wiesz...?* Miałem też odosobnione miejsce na medytację, a to dzięki błogosławieństwu w postaci wadliwego kolana (tak, błogosławieństwu – widzieliście moją kartę powołania?); po treningu musiałem mu serwować masaż wodny. Siedząc tak i patrząc na wodne kręgi wokół kolana, mogłem robić inwentaryzację moich zadrapań i siniaków (lubię je, na swój sposób), dumać o wszystkim i o niczym. Dzisiaj mogłem myśleć o голу, asyście i o tym, że praktycznie zapewniłem sobie miejsce w reprezentacji Ivy League.

– Bąbelkujesz się, Ollie?

To był Jackie Felt, nasz trener i samozwańczy duchowy przewodnik.

– A co, wygląda, jakbym trzepał gruchę, Felt?

Jackie zachichotał i wyszczerzył do mnie uźębienie w kretyńskim uśmiechu.

– Wiesz, co jest nie tak z twoim kolanem, Ollie? No jak, wiesz?

Byłem u wszystkich ortopedów na Wschodnim Wybrzeżu, ale Felt wiedział lepiej.

– Nie jesz, jak się należy.

Jego porady naprawdę mnie nie interesowały.

– Jesz za mało soli.

Może jak mu przytaknę, to sobie pójdzie.

– No dobra, Jack, zacznę jeść więcej soli.

Jezu, ale był uradowany! Odszedł z tym swoim niesamowitym wyrazem samozadowolenia na gębie idioty. Tak czy owak, znów byłem sam. Osunąłem całe przyjemnie zbolące ciało w wodę, zamknąłem oczy i leżałem po szyję w płynnym ciepłku. Aaaaaa.

O Chryste! Jenny czeka na zewnątrz. Mam nadzieję, że czeka! Jezu! Jak długo pławiłem się w rozkoszy, podczas gdy ona marzła na tym zimnie? Ustanowiłem nowy rekord szybkości w ubieraniu się. Jeszcze nie całkiem wyschnięty, jednym pchnięciem otworzyłem główne drzwi Dillon House.

Uderzyło mnie zimne powietrze. Boże, ale mróz. I ciemno. Grupka kibiców jeszcze tam stała. W większości starzy hokeiści, absolwenci, którzy w głębi duszy nigdy nie zrzucili ochraniaczy. Goście tacy jak stary Jordan Jencks; przychodzą na każdy mecz, u nas czy na wyjeździe. Jak oni to robią? No, bo w końcu Jencks jest poważnym bankierem. I dlaczego to robią?

– Połała się krew, co, Oliver?

– Tak, panie Jencks. Wie pan, jak oni grają.

Rozglądałem się na wszystkie strony za Jenny. Czyżby odwróciła się na pięcie i sama poszła do Radcliffe?

– Jenny?

Odsunąłem się na kilka kroków od grupy kibiców, szukając rozpaczliwie wzrokiem. Nagle wyłoniła się zza krzaka, z twarzą opatuloną szalem. Tylko oczy było jej widać.

– Cześć, lalusi, zimno tu jak diabli.

Ależ się ucieszyłem na jej widok.

– Jenny!

Prawie odruchowo pocałowałem ją lekko w czoło.

– Czy ja ci pozwoliłam?

– Co?

– Czy powiedziałam, że możesz mnie pocałować?

– Przepraszam. Poniosło mnie.

– Mnie nie.

Byliśmy mniej więcej sami, było późno, ciemno i zimno. Znów ją pocałowałem. Ale nie w czoło i nie lekko. Trwało to przyjemnie długo. Kiedy skończyliśmy, wciąż trzymała mnie za rękawy.

– Nie podoba mi się to – powiedziała.

– Co?

– Że mi się to podoba.

Gdy wracaliśmy (było daleko, ja miałem samochód, lecz Jenny wołała iść pieszo), trzymała mnie za rękaw. Nie pod rękę, tylko za rękaw. Nie każcie mi tego wyjaśniać. Na progu Briggs Hall nie pocałowałem jej na dobranoc.

– Słuchaj, Jen, przez kilka miesięcy mogę do ciebie nie zadzwonić.

Milczała chwilę. Dłuższą chwilę.

– Dlaczego? – spytała wreszcie.

– Lecz mogę też zadzwonić, jak tylko wejdę do mojego pokoju.

Odwrociłem się i ruszyłem w swoją stronę.

– Drań! – szepnęła.

Odwrociłem się znów i strzeliłem gola z odległości dwudziestu stóp.

– Jenny, umiesz rozdzielać razy na prawo i lewo, ale z ich przyjmowaniem to u ciebie gorzej!

Chciałem zobaczyć wyraz jej twarzy, lecz pamiętając o strategii, nie zrobiłem tego.

*

Kiedy wszedłem do pokoju, mój współlokator, Ray Stratton, grał w pokera z dwoma koleśkami futbolistami.

– Cześć, zwierzaki.

Odburknęli mi odpowiednio.

– Co dzisiaj zaliczyłeś, Ollie? – spytał Ray.

– Asystę i bramę.

– Z Cavilleri.

– Nic ci do tego – warknąłem.

– A kto to taki? – spytał jeden z niedźwiedzi.

– Jenny Cavilleri – wyjaśnił Ray. – Taka chuderlawa muzykantka, lewuska.

– Znam ją – powiedział drugi zwierz. – Dupa wyżej głowy.

Zignorowałem grubiaństwa tych napalonych drani, odłączyłem telefon i ruszyłem z nim do swojego pokoju.

– Gra na pianinie w Stowarzyszeniu Bachowskim – oznajmił Stratton.

– A w co gra z Barrettem?

– Pewnie w trąbę!

Chrząknięcia, pobekiwania i pokwikiwania. Cyrk w zoo.

– Panowie, kij wam w tył – powiedziałem, wychodząc.

Zamknąłem drzwi przy akompaniamencie zwierzęcych

odgłosów, ściągnąłem buty, położyłem się na łóżku i wybrałem numer Jenny.

Rozmawialiśmy szeptem.

– Hej, Jen...

– Tak?

– Jen... co ty na to, gdybym ci powiedział...

Zawahałem się. Czekwała.

– Wydaje mi się... że jestem w tobie zakochany.

Cisza.

– Powiedziałabym... że chrzanisz – wyszeptała.

I odłożyła słuchawkę.

Nie byłem nieszczęśliwy. Ani zaskoczony.